Nro 17.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 22 kwietnia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

Artykuł poniższy, napisany jeszcze w pierwszych dniach naszego konstytucyjnego życia, przeznaczony był pierwotnie do innego pisma. Ale ponieważ dotąd nigdzie go nie czytamy, a dotknięta w nim kwestya, podziśdzień zupełnie nierozwiązana, ciągle jeszcze umysły porusza, przeto sądzimy ten głos najsprawiedliwszego domagania się, i w dzisiejszej chwili na czasie, i w naszem piśmie na miejscu.

Krew męczenników naszych przebiła niebiosy! Bóg ulitował się cierpień naszych. Zdaje się, iż już przestaną płynąć łzy, które oddawna zalewały tę nieszczęśliwą krainę. Oto tysiące prawych obywateli uzbraja się, aby na przyszłość strzedz własnemi piersiami własnych swobód. Oto z podziwieniem używamy już najdroższego daru człowieka, wolności mowy. Ustają czasy prześladowania i bezrządów przemocy. Wiem, że wszyscy gotowi jesteśmy do największych poświęceń, aby ułatwiając ziszczenie zapowiedzianych nam pomyślności, utrzymać zgodę, porządek i powagę narodowych potrzeb i życzeń. Tylko nie trzeba od nas wymagać poświęceń nadludzkich. My nie możemy zapomnieć braci naszych pomordowanych niewinnie. Pamiątka krwi tej za nas wylanej, stała się już najświętszym religijnym obrządkiem. Ale chcemy ile sił starczy, usuwać te wspomnienia oburzające wnętrzności, chcemy przynajmniej o tem nie pamiętać. Przeto godzi się spodziewać, iż usunięte będą kolce rozdzierające dawniejsze rany nasze: bo bez tego śród szczęścia nię bylibyśmy szczęśliwi, nie mielibyśmy rękojmi, że piękne nadzieje i przyrzeczenia, że uciechy dzisiejsze nie są snem, chwilę tylko łudzącym. Ordery i medale z r. 1846 są okropnem urąganiem z narodowych klęsk i boleści. Ktożby z nas wątpił, że ręce, które nagradzały zbrodnię, nie będą cnoty ochraniać? Wierzymy, że nie byłyto ręce naszego monarchy, tylko lichych powierników, którzy wykradłszy mu zaufanie, nadużywali go. Wierzymy w to i dla tego właśnie spodziewamy się, że cesarz idąc za uniesieniem szlachetnego serca, odejmie łaskę, jaka wyłudzoną mu była podstępem, łaskę, jaka demoralizuje urzędników a narodowi ubliża. Nadto, są jeszcze pomiędzy nami ci, których naród znienawidził dla używanych przez nich wszystkich sposobów więzienia i prześladowania, którzy obmierzli narodowi dla tego, że doradzali i poduszczali do morderstw, sprowadzali w społeczeństwo anarchię, a na rząd hańbę; nareszcie tacy, których podejrzenie publiczne o skrytobójstwo obwinia. Wszystkichbym tu wymienił, gdybym nie wiedział, że w tej chwili, kiedym to wyrzekł, zakrwawione serca współziomków już ich nazwały. Gdzie chodzi o wypadki całemu narodowi wiadome, tam wymienienie uczynków jest nazwaniem osób. Narodzie! głos mój nie jest wzywaniem do zemsty. Uczucie to byłoby niegodnem wspaniałomyślnego serca twojego. Wzgarda twoja jest dostateczną karą ohydności. Ale jej widok obraża naszą uczciwość i śród spokoju czyni nas niespokojnymi. Sprawiedliwość, jaką nam monarcha obecnie wymierza, zdaje się zapowiadać, że nie zechce nadal poruczać władzy swojej rękom, które ją przez nadużycia splamiły. Tylko ufność i przywiązanie narodu do monarchy jest nieomylną podstawą tronu, zapewnieniem szczęścia wewnętrznego i najsilniejszą warownią przeciw napaści zewnętrznych. Przeto odsłaniamy dusze nasze otwarcie. Przedstawienie potrzeb i oczekiwań naszych stwierdziły jednozgodne podpisy wszystkich mieszkańców tej ziemi. Dalsze postanowienia mają dowieść, że głos panującego do nas, jest głosem szczerości i przekonania, że nie wyrwały go okoliczności i okoliczności nie zmienią. Zapał

i natchnienie niech nie ustają tak prędko, jak prędko nas ogarnęły. Podsycajmy je, aby się wzmagały i rozszerzały ku ustaleniu dobra powszechnego.

Leszek Dunin Borkowski.

Za rzeź i pożogę.

Od lat kilku żyjemy w porze zupełnego przetwarzania się społeczeństwa. Przed naszemi oczyma zapada się dawny porządek rzeczy, zrywają się stosunki odwieczne, wiążą się nowe. W tem powszechnem wzburzeniu dziejów ludzkich, wszystkie też własności natury ludzkiej, uporczywa ślepota i łagodna wyrozumiałość, zwierzęca srogość i szczera miłość bratnia, podła nieufność i święta wiara w pomyślność dobrej sprawy, żywszym niż kiedykolwiek rozgorywają ogniem, w dziwotwornych pasują się z sobą zwrotach. Osobliwie rażący widok przedstawia nam dzisiejsze rozwiązanie się stosunków między dawnymi panami a poddanymi. Długi przeciąg lat, zbieg słusznych i niesłusznych powodów, ustalił te stosunki. Kiedy niestosowność ich moralnie uczuć się dała, wzięto się w Polsce do wyrównania ich wcześniej, niż w wielu niby-oświeceńszych krajach europejskich. Tymczasem padła Polsce niewola zewnętrzna a zachodniej Europie długoletnia walka o swobody wewnętrzne. Grzmotny rozgłos tej walki zajął sobą wszystkie umysły, i z głównej sprawy niewoli naszej podrzędną w Europie zrobiwszy kwestyę, utrwalił tę niewolę; niewola zaś utrwaliła nierozstrzygnienie owych stosunków społecznych, które już dawno za niestosowne uznano i wyrównywać zaczęto. Tak zostało po większej części wszystko w dawniejszym stanie, w stanie, któremu jad niewoli coraz sroższych przysparzał boleści. Wszakże tosamo co utrwaliło naszą niewolę, stało się dalej tem silniejszą podnietą do zrzucenia jej jarzma. Wiejący z zachodniej Europy duch wolności, tyle razy stłumiony i znow w płomieniach, pokrzepiał nas także do ciągłych wybuchów przeciw naszemu zewnętrznemu ciemięstwu. W ciągu tych tylekrotnie powtarzających się zapasów zostali nieprzyjaciele nasi zmuszeni do zdradnego godzenia w nas z tej słabej strony naszej, którą oni umyślnie w rannem utrzymywali jątrzeniu, a my nawzajem do czemrychlejszego uleczenia tej rany. Jeszcze przed 1846 rokiem podżegano chłopów przeciw szlachcie, a wszystka do powstania 1846 roku przystępująca szlachta przystępowała doń z poświeceniem swoich dawnych stosunków względem chłopów, z hasłem zupełnego oswobodzenia ludu. Dzieje tego powstania przyprowadziły wreszcie rzeczy do ostateczności, do stanowczego przesilenia. Uwiedziony lud zbroczył się krwią swoich oswobodzicieli, oswobodziciele jego przepłacili męczeństwem poźność swojego dzieła. Przeto jednak dzieło oswobodzenia nie wzięło wstecznego kierunku; owszem okazała się tem gorętsza potrzeba jego; tylko że teraz między przeszłością a przyszłością krwawa stanęła ofiara, która właśnie całemu dziełu tem szybszego i spanialszego nadaje zwrotu. Bo i lud podaną sobie dziś rękę zbawczą, prędzej czy poźniej, z tem serdeczniejszą wdzięcznością i skruchą przyjmie, i nawzajem ewangelijne podanie mu przez szlachtę tej zbawczej ręki oswobodzenia, po doznanej na sobie ofierze, jest dziś tem wznioślejszą zasługą. I zda się w istocie, jakby te wszystkie tak bolesne zawikłania ostatnich kilkudziesięciu lat życia naszego, umyślnem zrządzeniem losów tak boleśnie zawikłać się miały, aby ostatecznością wynikłych ztąd stosunków doprowadzić i tę porę naszej historii do takiejże samej ostateczności każdookresowych dziejów naszych, jaką rzeczywiście w całym ciągu tych dziejów, u każdego ich zwrotnika widzimy. W wiekach panowania w Europie swobód feudalnych, dostąpiły te swobody w naszej, aczkolwiek nie feudalnie uorganizowanej szlachetczyźnie najpiękniejszego swego wyrazu, którego całej piękności jeszcześmy dotąd bynajmniej dostatecznie nie zbadali i nie ocenili. W nadchodzącej obecnie porze swobody powszechnej przedstawimy też światu, dzięki niezanadto rozwiniętemu u nas żywiołowi średniemu, miejskiemu, który w innych krajach europejskich klinem między obudwoma końcami społeczeństwa, ludem i szlachtą się rozpiera, i wschodzącą tam wolność w nienaturalną przewagę swobód municypalnych skarłowacić zagraża — przedstawim światu wznioślejszy, da Bóg, obraz swobody p o w s z e c h n e j, niż może okoliczności innym ludom dozwolą. Dziś — któryż z ludów okaże nam obraz piękniejszy nad ten, jaki znaczna, z każdym dniem większa (a wnet niewątpliwie wszelka) część szlachty przedstawia dobrowolnem zrzeczeniem się połowy swego mienia dla poratowania ojczyzny, dla zbratania się z ludem — *za* doznaną od niej *rzeź i pożogę!* — Jeszcze ten czyn zupełnie nie nastąpił, jeszcze i zupełne uznanie jego zasługi w nagrodę mu nie padło. Zresztą jestto czyn tak szlachetny, że samo wymienienie jego dostateczną stanie mu chwałą. Jakoż w uznanie zasługi dotychczasowych przykładów tego czynu pozwalamy sobie przytoczyć tu głos towarzyszący jednemu z takowych przykładów, odezwę właściciela do swoich dawnych poddanych przy rozwiązaniu dawnego z nimi stosunku. Akt ten, napisany z całą prostotą i skromnością szczerości, według pojęć ludzi, do których jest wymierzony, popadł nam przypadkowie w ręce, i uprosiliśmy od czcigodnego autora pozwolenie umieszczenia go tutaj, w pozostawienie świadectwa, jakiemi uczuciami powodowała się u nas zdawna znaczna część wiejskiego obywatelstwa, i z jakiem uczuciem przystępowała w dniach dzisiejszych do złożenia ludowi swojej ofiary — za przedwuletnią rzeź i pożogę.

Kochani moi bracia-włościanie!

Od lat 20, jak jesteście pod moim zarządem i opieką, zajmowałem się całą duszą tak polepszeniem bytu waszego, jakoteż nadaniem wam czystych wyobrażeń i podniesieniem pojęć waszych. W miarę jak widziałem pojęcia wasze rozwijające się, uwalniałem was każdorocznie stopniowo od różnych powinności. W początku zniósłem warty nocne, stróże, dalej wyrabianie płócien, przędzenie motków, dawanie osypu w zbożu, następnie dziesięcinę pszczelną, nakoniec zmniejszyłem pańszczyznę, a to w tym stosunku, że którzy robili przed sześcią laty, rocznie po dni 104, robią teraz 81, a ci, co robili 81 robią teraz 52. Zaprowadziłem kasę gminną, tak urządzoną, iż pożyczkę z niej zaciągniętą wypłacacie procentem; na zaprowadzenie tej kasy pierwszy fundusz dałem wam od siebie. Urządziłem szkółki w każdej gminie dla waszych dzieci. Zdrowie nawet wasze było w mojej pamięci, dom mój dla słabych był całodziennie otwarty i przystępny. Cyrulik w każdym tygodniu z obowiązku przyjeżdża do wiosek naszych; akuszerka uprzywilejowana od rządu, mieszka między wami; lekarstwa z apteki, ile tylko potrzeba ich wymagała, mieliście na zawołanie, w razie zaś większych słabości sprowadzałem własnym kosztem i moją furmanką doktora, jaki był najlepszy w okolicy. Wymieniam to wszystko jedynie dla pozostawienia śladu dzieciom i wnukom waszym, aby odczytując to kiedyś, mieli wyobrażenie, że ci, którzy niegdyś mieli władzę zarządzania ich ojcami, nie dla tego tylko nazywali się panami ich, aby im panowali i uciemiężali ich, jak to wrogowie nasi starają wam się wystawić, ale że bylito ludzie, którym uczucie ludzkości i świętość obowiązków opiekowania się wami była pierwszą nad własny interes. Wszystko to robiłem dla was z serca, przekonania i obowiązku, ale nie z takiego obowiązku jak wy to rozumieć możecie, to jest z powinności, do której mnie zmusza wyższa władza lub prawo jakie krajowe, nie bracia! robiłem to z obowiązku, jaki my ludzie jedni względem drugich mamy, przez boga w sercu zaszczepiony, jaki każden człowiek jeden względem drugiego z prawa natury, prawa boskiego wypełniać powinien. Ja tedy z przeznaczenia boskiego miałem obowiązek czuwać nad waszą dolą po ojcowsku, wy zaś taki sam obowiązek macie stosownie do stanu, jaki wam bóg przeznaczył, robić każdemu dobrze w miarę możności waszej, bo tak nam wszystkim bóg przykazał, i z tego naszemu stwórcy rachunek nam zdać będzie trzeba. Owocami pracy mojej cieszyłem się, bo zauważałem, że lubo nie wszyscy, przecież większa część wasza oceniała moje dla was postępowanie. W pierwszych momentach trudno było wam pojmować, co mnie powodować mogło do robienia wam dobrze. Ja byłem na to wyrozumiałym, bo miałem wszelką nadzieję, że czas i usiłowania moje zniszczą tę nieufność i przekonają, że pan przyjacielem i bratem wam być może. Przypominam sobie, jak uczty dla was sporządzane po ukończonych zbiorach, w pierwszych latach zdawały wam się nienaturalne, jak nie mogliście pojmować tego, abym ja ponosił ten trud i koszt bez celu korzyści dla siebie. Wynagradzanie przy takich ucztach tych wszystkich gospodarzy, którzy najwięcej w ciągu roku odemnie prócz odrobionej pańszczyzny gotowej zarobili wypłaty, zdawało wam się dziwnem; wzbudzało to w was początkowie podejrzenie, i w pogadankach waszych mówiliście nieraz, jak to być może, aby pan nam darmo te siwe czapki dawał, komornicom jałówki, bez żądania od nas jakiejś wysługi za to. Lecz jak się to corocznie przez lat 20 powtarzało, przejrzeliście nakoniec i pojęliście rzeczywiste dążenie moje, że ja was tym sposobem zachęcić chcę do zarabiania jaknajwięcej za gotowe pieniądze. Zbawiennych skutków tego, nie zaprzeczycie, jako też i tego, że kasa pożyczkowa, zaprowadzona do polepszenia bytu waszego, dużo się przyczyniła, a wpływ mój i miejscowego waszego kochanego proboszcza na życie moralne wasze, o wiele wyżej was postawił od innych sąsiednich wiosek, od których o ileście niżej byli, sami to najlepiej pamiętacie, i kilkakrotnie z ust waszych z ukontentowaniem słyszałem, jak wam to bracia wasi, a sąsiednich wsi włościanie na jarmarkach i prażnikach wyrażają, że „*Gazdę z Byczkowiec i Skorodyniec wsiudy piznaty.*“ Dotykalne zaś dowody polepszenia się waszego bytu są, iż przy objęciu mojem Byczkowiec i Skorodyniec na 240 numerów gospodarzy, pieszak żaden prawie, których jest trzy części, nie miał bydła do obrabiania pola swego, a pojedynki nie wszyscy; dziś zaś pokażcie mi jednego między wami gospodarza, aby nie miał zdatnej chudoby do obrabiania swojego pola, a nawet między chałupnikami i komornikami mają niektórzy robocze bydło, każdy zaś bez wyjątku ma krowę. Przypomnijcie sobie, jak z każdym początkiem wiosny w pierwszych latach oblegaliście dom mój z próżnemi workami o zapomogę na życie i zasiewy; ileżto już lat minęło, a między temi były lata głodu i nieurodzaju powszechnego, a wyście ani jednego ziarnka zboża tak na żywność jako i zasiew nie potrzebowali odemnie; mieliście zawsze chleb własny, obsiane pola wasze, i z sąsiednich wsi pola włościan waszem ziarnem w najcięższych latach obsiewaliście. Oto są skutki kasy gminnej, wciągnienia się waszego do zarabiania gotowych pieniędzy, nastręczania wam sposobności zarabiania tak u mnie jako i w suszarni buraków, utworzenia zpomiędzy was każdego rodzaju rzemieślników w miejscu, gdzie przy objęciu mojem ledwo kilku mularzy było. Dziś mamy do 30 swoich mularzy, cieśli, stelmachów, traczów,

cegielników, wapniarzy, kowali itd. Przyczyniła się niemało do polepszenia bytu waszego zrobiona przezemnie regulacya gruntów waszych, a chociaż ta mnie dużo czasu zabrała, ogromnie dużo przykrości zrządziła, czego sami byliście świadkami, lecz widząc w tem przez regulacyę wyrównanie waszej posiadłości i przyszłe polepszenie doli waszej, cierpliwie to znosiłem, i bóg pobłogosławił mi, patrząc na czystość zamiarów moich dla was, że dziś w przekonaniu mojem cieszyć się mogę pomyślnością waszą, jak ojciec szczęściem własnych dzieci, a wy przy każdej sposobności dajecie mi dowody, że rozumieliście mnie i umiecie być wdzięcznymi. Tak kochani bracia-włościanie! od chwili objęcia Byczkowiec i Skorodyniec rozpocząłem mój zarząd z tem przekonaniem, że wam ojcem i opiekunem być winienem i dopełniłem święcie tego obowiązku. Dzisiaj, kiedy Bóg wszechmocny dopomógł mnie i współobywatelom moim, iż dożyliśmy czasu, w którym wolno nam zrobić ofiarę z naszej własności, jako braciom naszym, których przed bogiem i ludźmi za takich uznajemy, składam zarząd mój z tem miłem zadowoleniem wewnętrznem, iż czas, w którym opatrzność powierzyła w ręce moje opiekę nad wami, dla dobra waszego użyłem. Jakim sposobem przychodzimy do tego, wyjaśnić wam winienem. Przed kilką laty prosiliśmy najjaśniejszego pana na sejmie, to jest na zebraniu się naszem we Lwowie, o uwolnienie was od pańszczyzny, lecz ta prośba nasza nie została wysłuchaną, tak jak wszystkie skargi nasze, bo nie dopuszczali tych do monarchy wrogi nasi, urzędnicy. Gdy takich wrogów ludu a tym samym i monarchy, najjaśniejszy pan teraz oddalił, już skargi nasze i prośby dojdą go. Powziąwszy więc wiadomość o nadanej nam wolności mówienia i pisania tego, co nas dolega, i przedłożenia monarsze życzeń naszych dla was, ponowiliśmy natychmiast prośbę naszą, którą wam tu składam w języku ruskim i taką samą w języku polskim, ażeby wam wasi synowie odczytywali ją. Prośbę tę naszą złożyliśmy na ręce gubernatora we Lwowie, który ją przesłał najjaśniejszemu panu. Spodziewamy się pomyślnych skutków tej prośby naszej; nim to jednak nastąpi, na co jeszcze jakiś czas z porządku rzeczy, jaki przy wszystkich takich zmianach wypaść musi, czekać nam przyjdzie; ja o d d z i ś d n i a n i e ż ą d a m o d w a s r o b o t y z a p a ń s z c z y z n ę. Ale że bez pomocy waszej, kochani bracia-włościanie, gospodarstwo rolnicze doznałoby w ogóle straty, wzywam was i proszę, ażebyście podług ugody, jaką między sobą zrobimy, za pieniądze robili szczerze i pilnie posesorowi. Z tego względu spodziewam się, że i tą razą niedoświadczę od was przeciwności, i z tem zaufaniem odjeżdżam od was, iż zechcecie być pomocnymi posesorowi, jakbyście to dla mnie robili. Żeby mnie zaś kto nie posądzał, że ja występuję do was jako burzyciel spokojności tą moją odezwą, i chciał odprowadzać was od posłuszeństwa naszemu rządowi, oświadczam, iż mam na celu spokój, jedność i porządek, i proszę was, abyście tak jak ja byli wiernymi poddanymi najjaśniejszego pana, i ufali że najjaśniejszy pan, wysłuchując prośbę naszą, do waszego przyszłego szczęścia przychylić nam się pozwoli. To więc co mówię do was, na dowód w każdym razie, składam co do słowa na pismie, jeden egzemplarz w ręce wasze, drugi na ręce waszego proboszcza. Ja oddalam się od was dla dopełnienia obowiązku ojca, to jest dla ukończenia nauk mojego syna i córki, a waszych chrzestnych dzieci, co jeżeli da mi bóg szczęśliwie dopełnić i przy życiu nas wszystkich zachować raczy, i razem między was powrócić nam pozwoli, spodziewać mi się należy, że pożycie nasze między wami będzie o wiele szczęśliwsze; bo już znikną między nami i wami stosunki panów i poddanych, a miejsce tego zastąpią sąsiednie i bratnie. Teraz nam tylko błagać boga należy, i w tym celu wzywam was, abyście się zgromadzili na nabożeństwo. Będziemy wspólnie modlić się, aby wszechmocny stwórca przyspieszyć raczył szczęśliwą godzinę pomyślności powszechnej, abyśmy podziękowali razem za jego łaski, że lud swój chrześciański pod panowaniem najjaśniejszego pana zostający, nas braci Polaków i Rusinów tym sposobem nierozwiązanym węzłem zjednoczył. A odtąd słodko nam będzie dopełnić tego przykazania bożego: „Kochaj bliźniego jako siebie samego“, bo już nie będzie pomiędzy nami powodu nienawiści, ale Zgoda, Braterstwo i Jedność. — Wasz brat, sąsiad i żołnierz gwardyi narodowej, Ferdynand Cielecki.

ZGODA.

A kiedy Mojżesz na Syonu szczytach
Rył słowa boże w płyty granitowe —
Lud Izraela w purpurach, błękitach,
Kwiatami cielca obsypywał głowę.
I krzyczał „Zgoda, między nami zgoda!
Bogaśmy sobie ulali ze złota,
Odtąd nas wieczna owionie pogoda,
On Kanaanu otworzy nam wrota!“
A kiedy prorok usłyszał te gwary,
Stanął jak skała, niby głaz bez ruchu,
I boga zemsty uczuł duch w swym duchu,
I gromem ryknął: „Kto się nie zrzekł wiary,
Wiary w Jehowę, — niechaj miecz dobywa
A słucha!“ —
A na lud cały padła cisza głucha,
I płachtą strachu drżący się zakrywa. —
A plemię Lewi wystąpiło przodem,
A prorok ryczał: „Jehowy mściciele!
Lećcie ognistym rozlać się pochodem,

A każdy trupem niechaj drogę ściele!
Póki lud cały zmieconemi głowy
Gniew nie przebłaga mściciela Jehowy!“ —
I padło gradem Lewi pokolenie
Na zalękłego narodu obozy,
Przed nim ryk strachu, jęki, wycie zgrozy,
Za nim — już cisza — głucha śmierć — jęczenie,
I płacz dziecięcy. —
Padło bez siedmiu trzydzieści tysięcy.
A prorok łzami zapłakał nad ludem,
Bo bóg łaskawy przebaczył już winy,
I miecze Lewi wstrzymał nagłym cudem,
I duchem zgody powiał na doliny. —
A naród prochem posypywał skronie
I krzyczał: „Zgoda między nami, zgoda!“
A prorok boską radość uczuł w łonie,
Bo gniew się jego rozpłynął jak woda! —

* *
*

Setkami wieki, jak godziny biły,
A w dwoch obozach — zawsze stały ludy;
Bo te w złotego cielca uwierzyły,
Tamte w proroka, Jehowę i cudy. —
Ilekroć święta przemagała sprawa,
Oboz lewicy krzyczał: „Zgoda, zgoda!
I my w Jehowy uwierzymy prawa!
Zgoda, brat bratu niechaj rękę poda!“ —
I zawsze prawe kalały się dłonie,
Zmazanych błotem dłońmi potępieńców,
I zawsze prawych krwią tryskały skronie,
Pod toporami podłych odszczepieńców.
„Zgoda“ krzyczeli „zgoda między nami;
Wy ją burzycie czciciele Jehowy,
Po waszych karkach mieciem toporami,
Bo nam za zgodę wasze ręczą głowy!“ —
O, takiej zgody nie kazał Jehowa.
Mieczami Lewi tępił taką zgodę.
Bo ona martwa jako trup, jałowa,
Za nią to piekło a nie raj w nagrodę.
Zgoda! hej zgoda, wieczna wiekuista!
Lecz między nami co wierzymy w boga;
Których myśl pała silna i ognista,
Czysta jak jutrznia, nieskalana, błoga.
Lecz niechaj będzie tysiąckroć przeklęty,
Hańbą skalany, zpośród nas wypchniety,
Ktoby lewicy bratnie podał dłonie. —
Bo ona w boga, Jehowę nie wierzy,
Bo ona w grzechach a zhańbieniu tonie,
Bo ona w przepaść, w piekło, w otchłań bieży,
Hańba jej, hańba! Za nią piorunami!
Za nią mściciela Iehowy myślami!
Za nią Lewitów świętemi mieczami!
Póki się zgrozą włos jej nie najeży,
Póki się czołem w prochu nie rozściele,
I w jednym boga jednego kościele
W cnotę, w Jehowę, w boga nie uwierzy.

L. J.

O portretach Teofila Wiszniewskiego.

W pierwszych dniach po nastaniu wolności druku, wyszedł w Wiedniu obraz Teofila Wiszniewskiego, przez jednego z młodych artystów tam się sposobiących, na półarkuszu litografowany. Obraz ten tak pospiesznie wykonany, że w jednym dniu artysta na kamieniu go odrysował, a w drugim odbijał, świadczy co do rysunku i techniki, o niepospolitym jego talencie, a zapał, z którym go na miejscu rozkupywano, o żywej szlachetnych Wiedeńczyków dla nas sympatyi; lecz podobieństwem i wyrazem twarzy zadowolić ten obraz nas nie może, cośmy na ogłoszenie wyroku i śmierć Wiszniewskiego patrzyli.

Wszystkie obrazy naszego Męczennika musiały być rysowane ukradkiem, gdzieś zza okna i zbyt pospiesznie. Ścisłego więc podobieństwa wymagać po nich trudno. Nasz litograf tylko kopię jednego z tych obrazów miał pod ręką, sam we Lwowie 31 lipca r. z. nie był; a kto tej wielkiej sceny poświęcenia nie widział, wyobrazić jej sobie nie zdoła. Litograf chcąc zapewne twarz upoetyzować, wyraził w niej głęboki smutek, podobny jaki jest na znanych powszechnie obrazach Łukasińskiego, lecz jakiś smutek ponury, bez szlachetnej Łukasińskiego rezygnacyi. Łukasiński wystawiany był w długiem i ciężkiem więzieniu, bez nadziei wydobycia się, a jeszcze młody, więc i bez nadziei rychłego uwolnienia przez śmierć naturalną; jego smutek nas nie zadziwia, a połączony ze wspomnioną rezygnacyą, budzi litość, lecz litość zmieszaną ze czcią, która Łukasińskiemu bynajmniej nie ubliża. W innej chwili, w innem zupełnie położeniu wyobrażony jest Wiszniewski; on w krótszem więzieniu tyle wycierpiał, że śmierć uważać mógł za wybawienie. Jemu nie litość się należy; wyrażenie samego tylko smutku na twarzy, krzywdzi go, bo budzi podejrzenie, jakby żałował życia lub tego co uczynił.

Wiszniewski co działał, działał z przekonania, nie lekkomyślnie ani w uniesieniu chwilowem, przemijającem; wszystkie następstwa swojego działania przewidział i na wszystko był przygotowany. Haniebny rodzaj śmierci nie zastraszał go, bo on ją swojem poświęceniem uszlachetniał. Przewidywał może owoce, które śmierć jego wydać miała, a pewnie dla siebie przeczuwał nieśmiertelność. Na jego więc twarzy smutku nie było. Nie urągał uroczystej chwili junactwem, nie udawał niewczesnej wesołości, ale nie pobladł, nie poczerwieniał, nie zachmurzył się, nie okazał gniewu,

oburzenia ani zawziętości. Mimo osłabienia z mąk i odbytej ciężkiej choroby, mimo nóg opuchłych, wstępował na rusztowanie i schodził z niego krokiem pewnym i niezachwianym. Przemówił tylko przy wystąpieniu i zejściu: „Żegnam was Polacy!“ — bo czyż słów potrzeba mu było, aby współczucie obudzić? — Widzów uginała głęboka boleść, ich oczy zaszły łzami gorzkiemi, ciche łkania przerywały uroczyste, wymowne ich milczenie; Wiszniewski zachował powagę i godność swojego szczytnego stanowiska. Twarz jego zachowała tę pogodę, którą starożytni rzeźbiarze nadawali posągom swoich bogów i bohaterów, a wielcy włoscy malarze obrazom męczenników chrześciańskiej wiary. I ta pogoda nazajutrz na widok szubienicy i w samej śmierci go nie opuściła.

Zawsze więc jeszcze po którym z naszych artystów, co tej wielkiej, uroczystej sceny świadkami byli, wyglądamy i wymagamy ze szkicy wówczas dorywczo schwyconej, obrazu starannie wykończonego, któryby wzniosł się do wysokości swojego przedmiotu. Taki obraz z wiernością i prawdą wykonany, sam zdolny jest wsławić artystę od razu.

CIPCIA.

(Dokończenie.)

Jak łatwo pojąć, nie zmrużyłem oka przez całą noc. Tysiączne domysły przedstawiały mi w różnych, najdziwaczniejszych postaciach autorkę czy autora tajemniczego listku. Zapewneto któryś z kolegów związkowych, pomyślałem, chce mi dać informacyę względem zachowania się w ciągu sprawy. Albo też jestto podstęp szpiegowski, mający wyłudzić odemnie skazówek do wciągnienia więcej towarzyszów w mój proces. Lub też wreszcie jestto prosta pomyłka, a doręczona mi kartka była może komu innemu przeznaczona. Zamiast czegokolwiek, dowiedziałem się tej nieskończenie długiej nocy o istocie owego sennego widziadła, które od pierwszego noclegu w więzieniu conocnie we śnie mi się jawiło. Byłto w prozaicznej rzeczywistości stróż więzienny, który przy roncie z pospiechem do celi wpadał, i dla przekonania się, czy wszystko w należytym w niej porządku, po obejrzeniu się wkoło, więźniowi latarką w oczy przyświecał.

W końcu zaświtał ranek upragniony. Lecz ileżto razy trzeba jeszcze było schować nazad nieczytelną w długim więziennym mroku kartkę, nim wreszcie rozjaśniło się dostatecznie i wystąpiły na niej wyraźnie słowa: „Donieś, czego ci potrzeba? kogo, o czem w twej sprawie uwiadomić? Bądź spokojny, więzienie twoje nie długo potrwa. Cipcia.“

Tych kilka słów bynajmniej mnie nie zaspokoiło. Nie szło mi bowiem o żadne potrzeby, które mi się jeszcze uczuć nie dały, ani też o zawiadomienie kogokolwiek względem toku mej sprawy, gdyż okoliczności dozwalały mi nie wciągać w nią nikogo; pragnąłem jedynie wiedzieć, kto Cipcia? Pragnąłem tego z dziecinnym uporem, który ledwie do płaczu mnie nie pobudzał. Zapomniałem żem w więzieniu, zapomniałem wszystkie smutki i życzenia więzienne; sama tylko żądza poznania mojej nieznajomej, płomieniem całą wyobraźnię ogarnęła. Wezwana do rady „Rzeczpospolita“ nie umiała mi żadnej w tej mierze dać odpowiedzi. Otrzymałem tylko ołówek od niej, którym prócz gorących dzięk za okazany mi spółudział, skreśliłem w odpis namiętną prośbę o danie mi skazówki, komu tyle szczęścia zawdzięczam. Poczciwy Węgier wziął wczorajszym sposobem moją odpowiedź i przyrzekł przynieść mi nowy liścik za dwa tygodnie, gdy znowu na wartę do Karmelitów przyjdzie.

Te dwa tygodnie, wydające się dwoma stóleciami gdy dopiero mijały, były krótką chwilką gdy już minęły. Bo zupełny brák istotnego czynnego zajęcia się w więzieniu, jak każdą obecną godzinę wiekiem rozwleka, tak wzajem całe lata, nie obciążone wagą żadnego rzeczywistego czynu, w jedną przelotną chwilę w wspomnieniu ściąga. Jestto niejaką złudą pociechy dla więźnia, gdy pomyśli, że i dalsze lata tak lekkim w pamięci wioną mu puchem, alež nim one wioną! ależ męczarnie obecności!

Otrzymana po dwoch tygodniach kartka donosiła: „W sądzie masz złożone pieniądze na wikt i inne potrzeby. Kto jestem, dowiesz się poźniej. Tymczasam wytrwaj spokojnie. Cipcia.“

Dalsze prośby o zaspokojenie mej ciekawości nie odniosły lepszego skutku. Stało się zadość rzetelnym potrzebom moim; fantastyczny zbytek zadowolenia ciekawości nie liczył do nich; oczekiwałem z gorączkową niespokojnością trzeciej kartki, lecz żołnierz nie wracał więcej; tajemnicza korespondencya urwała się.

Wszakże, jakkolwiek krótka, zostawiła mi ona prócz materialnej pomocy niewyczerpany na długi czas cierpienia skarb moralnej pociechy. Owszem ta moralna pomoc była jedynym pomyślnym jej skutkiem. Bo gdy wkrótce mój przyniesiony do więzienia szczupły zasiłek się wyczerpał, nie mogłem upomnieć się o złożoną za sprawą Cipci pomoc, po którą zgłoszenie się byłoby moją korespondencyę wykryło; a z sądu, gdzie zwłaszcza w początkach każdej inkwizycyi o jak największe znękanie więźnia starano się, nikt o przygotowanej mi uldze nie wspomniał. Stanęło więc na tem, że ponieważ własne pieniądze mi wyszły, muszę przejść na wikt więzienny. Wikt ten był dwojaki, takzwany szpitalny, nieco znośniejszy, i prosty aresztancki, takzwana *sałamacha*. W aktach urzędowych wyglądała *sałamacha* wcale nieszpetnie; wchodziły w nią bowiem

codziennie dwa różne dania a trzy razy w tygodniu kawałek mięsa. Ale w rzeczywistości, mianowicie dla ludzi, wychowanych na zwykłej, choćby najlichszej strawie, byłto wyrok głodu....

Wiecież wy grzeczni panowie i panie, co to głód? kilkumiesięczny głód? głód zaostrzony piołunem niewoli samotnej, niedozwalającej oderwać niczem myśli od obecnego cierpienia zwierzęcego, przyprawiony wilgocią i smrodną stęchłością zamkniętej, nawpół podziemnej celi, z dodatkiem wiecznej nieruchomości, braku wszelkiego umysłowego pokrzepienia, kajdanek, a wreszcie — aby najmniejszy, choćby zimowy wietrzyk wolności do zgniłej nie zawiał celi — rozkazu zamknięcia okna na kłódkę.

Zwyczajnym skutkiem tego wszystkiego bywał szkorbut. Zacząłem uczuwać okropne łomanie w kościach, przy którem nieustająca fluksya z bolem zębów jeszcze najmniejszą zdała się fraszką. Wezwany lekarz uśmiechnął się żartobliwie na wskazane mu ściany, pleśniejące od wilgoci, na strawę nietkniętą, której zwykłemi przysmakami były wpadłe w nią przy hurtownem kotłowem warzeniu świerszcze, stonogi, niekiedy całe myszy — na twarz opuchłą, na sińce od kajdanek. Oburzony tą nielitościwością, chciałem własne bole pogorszyć, aby widoczniejszą ich oznaką skłonić lekarza do zarady; okładałem twarz zimną wodą, aby puchlinę zwiększyć. Ból się powiększył, ale lekarz ofuknął mię, że go bez wszelkiej potrzeby trudzę.

Dziecinną wściekłość, wzbudzoną temi cierpieniami i nieludzkością ludzką — co wszystko w porównaniu z cierpieniami innych więźniów było rzeczywiście jeszcze drobnostką — uśmierzyły tylko słowa Cipci „Wytrwaj spokojnie.“ Uspokoiłem się. Zanurzyłem się sam w siebie. Zagrzebałem myśl całą wewnątrz, aż pogrążając się coraz głębiej, dokopała się tam na dnie ukrytego w każdej duszy ziarnka, promienia religijności. Wyłoniwszy się w skruszeniu całego jestestwa na wierzch, oświecił mię ten promień nagle nieznanym dotąd, prawie jaskrawym, porażającym blaskiem. Upadłem pod jego przemocnem wrażeniem. Odszedłem prawie od zmysłów. Po całych dniach leżałem na kolanach, w modlitwie, we łzach nieustających. Książka religijna zdała mi się zbawieniem. Prosiłem o nią; nie dozwolono mi żadnej. Miałem z sobą jedyną książkę, gramatykę francuską. Umieszczone na pierwszych kartkach po polsku i po francusku „Ojcze-nasz“ i „Zdrowaś-Maria“ stały mi za całą Księgę żywota. Rzuciłem się na nie, jak umierający z głodu potępieniec na pokarm zbawczy. Pokarm ten pokrzepił mię zaprawdę. Wzmocniony nim, oparłem się pokusom okupienia sobie łaskawszego obejścia się ze mną, ulgi w głodzie jakoteż innych cierpieniach, przez wyjawienie tajemnic koleżeńskich, jakie w mej mocy były. Głos boży dodał siły do usłuchania głosu ludzkiego: „Wytrwaj spokojnie.“

Przez dni kilkanaście trwał ten religijny szał klęczków, pobożnych łez i modlitwy. Po nim nastąpił jakiś błogi spoczynek, spokój wewnętrznego wesela. Jaskrawy blask otwartych niebiosów cofnął się w górę, a na dole została tylko ozłocona nim fantastyczna postać Cipci, święty dla mnie obraz więziennej patronki mojej odmalowany dowolnemi rysami młodzieńczej wyobraźni.

Prócz duchowej pociechy, jaką mi nieustanne marzenia o niej przynosiły, sąsiedni koledzy moi żywili mię niemniej pożądanym karmem zmysłowym. Zacna „Rzeczpospolita“ miała po długiem więzieniu lepszy od mego wikt szpitalny. Gdy się pokazało, że mnie nie na kilkudniowy tylko postrach *sałamachą* sąd raczy, a jam wreszcie przyjęcia dawno ofiarowanej mi od „Rzeczypospolitej“ mięsnej pomocy odmówić dłużej nie mógł, zawsze z czterech porcyj mięsa, przynoszonych moim sąsiadom, jeden kawałek, uwiniony w długą kiełbasę, przesunął się do mnie przez tę dziurę, którędy tabaka niegdyś jechała. Poźniej, gdy przecież kłódkę od okna zdjęto, i kochany „Aparat“, żyjący na wikcie płatnym, nierzadko kęsem pieczeni „Bagnecinę“ częstował. Tak pocieszany nieodstępującem mię widzeniem mojej patronki, żywiony przez kolegów, których nigdym przedtem ani potem w życiu nie widział, przebyłem szczęśliwie najsroższe dnie cierpienia.

Nastała pora lżejszej doli. Po skończonej inkwizycyi dano mi wikt szpitalny, zdjęto łańcuszki, dozwolono niekiedy książki. Nadeszło też lato, a z niem co kilka, z początku 7, poźniej 3 dni, godzina spaceru po 36-krokowej ścieżce w ogrodzie. Nadewszystko zaś miła nastała rozrywka w wieczornych pogadankach z kolegami przy oknie. Ilekroć dobry, to jest młody żołnierz stał pod oknem na straży, spędzaliśmy wszyscy 8 więźnie polityczni w naszem skrzydle, każdy wieczór do rontu o północy na poufnej, wesołej rozmowie, przerywanej często roskosznie, zasłyszaną zdaleka, ze światu, piosnką narodową, zalatującemi zdala dźwiękami fortepianu, które z szczęśliwych, wolnych brzmiąc pokojów, nie domyślały się, że samotnych więźniów weselą.

Po długiem sąsiedztwie rozbiła się nasza osada więzienna. „Rzeczpospolita“ i „Książę“ wyszli na wolność. „Aparat“ został wywieziony do Tryestu, „Jargoguł“, Henryk Dmochowski, którego przyjaźni winienem był udzielenie sobie przez stróża więziennego gramatyki angielskiej, poźniej towarzyszki innego kolegi, E. Chrząstowskiego, podczas kilkuletniego więzienia na Szpilbergu — poszedł, skazany, do Kufsztajnu. Zostałem sam jeden — zostałem jeszcze rok cały.

* *
*

Dopiero w kilka tygodni po uwolnieniu, wróciwszy ze wsi, dokąd natychmiast mię uwieziono, dowiedziałem się, kto jest Cipcia, patronka nietylko moja, ale

wiadomie i niepowiadomie, wszystkich wówczas uboższych więźniów karmelickich.

Wieczorem letnim, w ogrodowem mieszkaniu czcigodnego towarzysza więziennego M., zgromadziło się grono przyjacioł. Miałem tam złożyć podziękowanie Cipci, której jeszcze nie znałem. Wpatrując się w towarzystwo damskie z niespokojną ciekawością odgadnienia z pomiędzy nich mojej patronki, słyszę obok siebie głos zacnego gospodarza domu, zbliżającego się z przeciwnej strony z jakąś piękną, dziwnej uprzejmości blondynką. „Oto mój kolega więzienny Sz.“ — rzeknie do niej; „moja kuzynka Amalia Radziszewska“ do mnie — „Nie znasz jej? Cipcia.“

Nie było słowa do oddania należnych jej dzięk i czci. Takie zasługi odwdzięczają się tylko uwielbieniem całego życia, wdzięcznością ludu. Byłato jedna z cichych bohatyrek naszych dziejów niewoli.

Wkrótce potem wyjechała za granicę — towarzyszka życia i wygnania jednego z braci narodowego pielgrzymstwa.

Da Bóg, rychło na ziemię ojczystą, na łono rodziny wrócą. K. Szujewski

---

Z Dukli.

(Wyjątek z listu do redakcyi.)

....Prawda — niejeden właściciel dóbr zaduma się nad tem, że diabełka trzeba będzie wykluczyć z wieczorynek, nie mając go czem opłacić; że angielskie ogrody nie będzie kim, a właściwie czem obrabiać; że żona nie będzie mogła haraczu pani Adamskiej składać, a najbardziej, że pieczone gołąbki już nie wlecą tak lekko, bez pracy i mozołu do gąbki; że trzeba będzie mądrze i ciężko głową kręcić, aby odkroiwszy pańszczyźniane zbytki, na wygodne życie dochody z wioski wycisnąć. Ależ miejcie litość! Czas przecież, aby i ten chłopek czegoś lepszego raz już zaznał. Wszak i on dziecię jednego boga i jednej ojczyzny, wszak i on duszne stworzenie i okrutnie czuje swoją niedolę. Czemże jest ta różnica w waszych dochodach, która tylko w początkowych czasach da się uczuć, w porównaniu z odrodzeniem biednego wieśniaka. Pańszczyzna — to jest żelazne wieko, które mu wszystkie władze duchowe przygniata, która go źwierzęciu równa i nie da mu się rozwinąć ku wyższemu celowi. A my niestety jesteśmy ciągle w odwrotnej temu celowi stronie, i jakby bezsilne i niekonsekwentne istoty nie mamy odwagi wyciągnąć nasze ofiary z kałuży, nie pomnąc, że nas już tem błotem okrwawili, i że jeżeli rychło na zieloną łąkę nie podamy im dłoni, mocniejsi, gotowi nas w kale zgnilizny zatopić....

Siostry moje, Polki! Zagrzewajcie mężów waszych do tej szlachetnej ojczyźnie i ziomkom naszym ofiary. Jeżeli poskromienie zbytków waszych będzie wam cierpkie, wkrótce spojrzawszy na wypogodzone lica z niewoli wydobytego chłopa, na jego polepszone mienie, na jego stopniową oświatę, ku której towarzystwo wstrzemięźliwości tak silny postawiło węgieł, wynagrodzi was sowicie i uraduje silniej wasze serca, niż wszystkie cacka i chińszczyzny z źródła pańszczyzny nabyte.

Siostry! precz jedwabie! precz korónki! precz mody! — Naszą myślą — wolność, naszym zbytkiem — darowanie pańszczyzny, naszym strojem — narodowa kokarda! — Ty zaś mości redaktorze, zarzuć choć na niejaki czas doniesienia krojów sukień i narzutek. Bowiem i tych kilka wierszy lepiej zapełnić jakim patryotycznym głosem, któremu po tylu latach milczenia dość się nasłuchać nie możem. Temwięcej, że mody twoje, jako dziś nie czytane, nie pełnią przeznaczonej posługi. — Obywatelka z jasielskiego.

Kronika tygodniowa.

Pod tą rubryką podawać odtąd będziem wiadomość o wszystkich ważniejszych zdarzeniach w stolicy naszej. Dziś wzmiankujem tylko pokrótce o zawiązaniu się tu „Rady narodowej“ z dwudziestu kilku obywateli wszelkich klas i wyznań, w pierwiastkowym celu wydawania codziennego pisma pod tąż nazwą, mającego się zasilać spółpracownictwem podobnych lwowskiej „Radzie narodowej“ gron korespondencyjnych po całym kraju. Dotąd wyszły 2 nra dziennika „Rady narodowej“.

M O D Y.

Z Paryża, dnia 15 kwietnia 1848.

Stroje damskie. Tego roku najwięcej w modzie są fulary, materie szkockie, popeliny w najrozmaitszych kolorach, osobliwie szafirowe; czarne, amarantowe kolory są najwięcej lubione i używane. Materie w kraty biorą najczęściej dla osób młodych, staniki robi z gładkiemi pleckami, przodki wysoko zachodzące i do pasa. Widzieliśmy już kilka takich szlafroczków wiosennych po najpierwszych pracowniach w różnych kolorach, z stanikiem gładkim, spiętym od góry do dołu; spodnicy na białe guziki z perłowej macicy.

Rycina przedstawia: Ubior gwardzisty francuskiego, a drugi ubior męski: twinę letnią, kamizelkę długą z wyłożonym kołnierzem.

Redaktor odpowiedzialny JAN DOBRZAŃSKI. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.